

Filipczak Andrzej

Wolontariusz

Z „Fahrenheit”

Otworzyłem drzwi na chwilę przed naciśnięciem dzwonka. Cofnęli się jednocześnie, zupełnie jak bliźnięta. Ciekawe, czy tak ich tam szkola, czy też to kwestia przypadku... Wykrzywiłem twarz w grymasie mającym symulować uśmiech. Przed drzwiami stali Malinowski i Kowalski. Tak się przynajmniej przedstawiali.

– Witam panów. Proszę. – Zaproszenie, które padło z moich ust, było równie uczciwe jak ich uśmiechy i nazwiska.

– Dzień dobry – rzucił wyższy. – My tylko na chwilę.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem w stronę salonu. Przez duże, uchylone okna wpadał przyjemny powiew wiatru, sprawiając, że człowiek zapominał, że dopiero niedawno skończyła się zima.

– Możemy usiąść?

Niższy, nie czekając na moją zgodę, usiadł przy stole i zaczął grzebać w plastikowej torbie.

– Są – oświadczył triumfalnie i wyciągnął trzy butelki piwa.

Wzruszyłem ramionami. Nie spodziewałem się gości. Zwłaszcza tak niemile widzianych.

– O co chodzi? – Postarałem się, aby chłód w głosie był wyraźny. – Przecież była umowa. Miałem dostać pół roku urlopu.

– Sprawy się komplikują. – Rozłożył ręce wyższy.

Zdenerwowałem się.

– Panie Kowalski, sprawy zawsze się komplikują, a ja nigdy nie mogę wykorzystać swojego urlopu do końca. Chcecie, żebym w końcu popełnił jakiś błąd. Chcecie zostać zdemaskowani? Myślicie, że pół roku urlopu wymyśliłem dla własnego widzimisie?

– Niech się pan uspokoi, Kistner. – Malinowski próbował załagodzić sytuację. Podsunął mi otworzone naprędce piwo. Nie skorzystałem.

– O kogo tym razem chodzi. Minister? Prezes jakiegoś banku? Sekretarz Stanu?

Kowalski pokręcił powoli głową. Na ustach wykwitł mu tajemniczy uśmiech.

– Tym razem nie, panie Kistner. Tym razem celem jest kto inny. Zwykły... No, może przesadzam. Nie jest zwykły. Tym razem celem jest wolontariusz.

Lubelski oddział Ligi mieścił się w kamienicy przy Długiej 15, wąskiej uliczce odchodzącej od rynku Starego Miasta. Wbrew pozorom był to jeden z tańszych lokali położonych w centrum i to pewnie było jego największą zaletą. Rozejrzałem się przez chwilę po zniszczonych przez czas budynkach, których nie mogły zamaskować pośpiesznie rozkładane parasole przy kawiarnianych stolikach. Dobre wrażenie, które zrobiło kilka odrestaurowanych domów za Bramą Krakowską, ulotniło się bezpowrotnie.

Poranne słońce zaczęło przygrzewać coraz mocniej, więc tym chętniej schroniłem się w chłodnym wnętrzu kamienicy. Żółty, fosforyzujący szyld przykuwał wzrok. I bez niego wiedziałem, że biuro Ligi znajdowało się na poddaszu. Prowadziły do niego strome, drewniane stopnie. Skrzypiały. Początkowo nawet mnie to bawiło. W erze bezszelestnych wind skrzypiące schody były czymś niezwykłym, wartym zapamiętania. Jednak na trzecim piętrze jednostajny dźwięk zaczął już mnie nużyć. Denerwowało mnie zwłaszcza to, że drewniane schody powiadomiły wszystkich mieszkańców kamienicy, że w budynku znajduje się intruz. Nie lubiłem tak się afiszować.

W końcu dotarłem na miejsce. Obite drewnem drzwi i wyłożony panelami krótki korytarz kontrastowały z odrapanymi ścianami klatki schodowej. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mam zapukać. Wprawdzie nie należy pukać do drzwi instytucji, ale dobre wychowanie przeważyło. Uderzyłem trzy razy zgiętym palcem i od razu nacisnąłem klamkę. Naprzeciwko drzwi, w maleńkiej klitce mieściło się ciemne biurko. Za nim siedziała młoda, urocza istota.

– Słucham pana?

Zmieszałem się. Miała piękne, szmaragdowe oczy.

– Słucham pana – powtórzyła głośniejsz.

– Czy to Liga Ochrony Przyrody?

– Tak. Oddział lubelski. Czym mogę służyć?

Przestąpiłem z nogi na nogę. Dziewczyna uśmiechnęła się, czując, że moje zakłopotanie to w rzeczy samej komplement dla niej.

– Czytałem w gazetach o tym, co robicie. To wspaniałe... Chciałbym jakoś pomóc. Wie pani, mam sporo wolnego czasu...

Dziewczyna skinęła głową.

– Wolontariusz? Miło nam, że pan przyszedł. Na pewno pańska pomoc się przyda... Jacek – wstała – a miała piękne nogi – i otworzyła drzwi znajdujące się po prawej stronie. – Jacek – krzyknęła w głąb pomieszczenia. – Proszę, niech pan usiądzie. Zaraz przyjdzie kolega i oprowadzi pana po naszym oddziale.

– Dobrze. Z przyjemnością poczekam. Jak już mówiłem, mam sporo czasu.

Jacek był wysokim mężczyzną z sumiastym, zrudziałym od papierosów wąsem. Prawdopodobnie oderwałem go właśnie od drugiego śniadania, ponieważ na wąsach wciąż znajdowały się okruszki chleba. Uścisnął mi dłoń i otworzył szeroko drzwi.

– Witam. Proszę. – Puścił mnie przodem.

Pomieszczenie było spore. Stało w nim kilka eleganckich czarnych biurek z komputerami i prawdziwa barykada wzniesiona z kartonowych pudeł. Usłyszałem czyjś śmiech. Zza kartonów wyłoniły się trzy kobiety niosące kubki z kawą. Spojrzały na nas z zaciekawieniem.

– Czym się pan zajmuje, panie...

– Konkol. Jakub Konkol. Przez "on".

– Jacek Wawryniuk. Hmmm. U nas, w Lidze wszyscy jesteśmy na ty.

– Nie ma sprawy, nie jestem formalistą.

– Cieszę się. Więc Kuba, może najpierw cię przedstawię naszym "pracownikom". Jak sam widzisz, w tej chwili jest tu zaledwie kilka osób. Szanujemy wolny czas naszych wolontariuszy i nie prosimy ich o pomoc o ile nie są niezbędni. Co wcale nie znaczy, że jeżeli masz wolną chwilę, nie możesz w niczym pomóc. Roboty zawsze jest pod dostatkiem. Ludzie, których widzisz w tej chwili, to stali pracownicy. Bez nich nie istniałaby Liga. A właśnie... Czym się zajmujesz?

– Pracuję w szkole, a że zaczęły się wakacje... Postanowiłem zrobić coś pożytecznego...

– Czego uczysz?

– Angielskiego. – Uznano zgodnie, że ten przedmiot będzie najbezpieczniejszy. Znalezione mi nowe mieszkanie, etat w szkole i kazano czekać do wakacji. Standardowa procedura.

– Super. Bardzo nam się przydasz. Chodź, przedstawię cię dziewczynom.

Kiwnąłem głową. Wprawdzie "dziewczyny" były kobietami dobrze po czterdziestce, ale uśmiechały się jak gwiazdy filmowe.

– Pozwólcie, że przedstawię wam nowego wolontariusza. Kuba jest nauczycielem angielskiego i chce nam nieco pomóc. Kuba, to Basia, Ania i Karolina.

– Dobrze, że przyszedłeś. – Niska kobieta w różowych okularach mrugnęła do mnie zalotnie. – Jedziemy za dwa dni do Warszawy, na pikietę. Jesteś zainteresowany?

Nie pojechałem do Warszawy. Nie lubię tłoku. Wykreśliłem się dodatkowymi zajęciami w szkole. Jak się okazało, decyzja była słuszną. Pikieta Sejmu okazała się być całkowitym niewypałem. Do Warszawy przyjechała tylko garstka ekologów, nadrabiająca braki personalne brawurą i agresywnością. Próbowali przykuć się do balustrady przy schodach na Wiejskiej. Zainterweniowała policja i demonstrację rozpedzono już po godzinie. Nasi oczywiście spóźnili się na najciekawsze i snuli do późnej nocy pod gmachem Sejmu, wznosząc gniewne okrzyki i potrząsając transparentami. Nawet nie pokazano ich w telewizji. Totalna amatorka...

Przez wakacje niewiele się działo. Zredagowałem kilka pism do zachodnich fundacji, odpowiedziałem na parę listów i telefonów w godzinach dyżuru i przebrnąłem przez stos makulatury, którą obdarzyli mnie lubelscy ekologodzy.

Rozpoczął się rok szkolny. Nie powiem, aby się specjalnie czuł wyczerpany pracą. Miałem dwadzieścia godzin w jednej z prywatnych szkół, gdzie jako anglista, który spędził kilka lat na Zachodzie, cieszyłem się niezupełnie zasłużonym szacunkiem. Nie dawałem prywatnych lekcji. W zupełności wystarczały mi pensje: jedna ze szkoły i ta druga, kilkakrotnie większa. Polecono mi, bym na razie możliwie mocno zaangażował

się w działalność lubelskiej Ligi. Zrobiłbym to nawet i bez odgórnych dyrektyw. Lublin jest sympatycznym miastem, ale nie ma w nim zbyt wielu rozrywek. Coraz częściej siedziałem w lokalu na Długiej...

Jacek był oddany sprawie całą duszą. Lubił mówić, zwłaszcza gdy miał jakiegoś słuchacza. Po wypadku, w którym zginęła żona i syn, zaczął pić, stracił pracę... Przyjaciołom zawdzięczał, że się z tego wygrzebał. Wzięli go do biura Ligi. Było dużo wątpliwości, ale podobno poręczył za niego sam Orzeł. Jacek niechętnie o tym mówił. Wolał rozmawiać o przyszłości...

To od niego poznałem historię Ligi po aksamitnej rewolucji. Ta dawna organizacja młodzieżowa wkroczyła w nowe milenium odrodzona. Po kilku latach powolnego upadku, ktoś na górze przypomniał sobie o ruchu. Znalazły się pieniądze, podjęto odpowiednie uchwały...

Liga w dalszym ciągu skupiała się na edukacji ekologicznej młodzieży, ale jednocześnie stawiała się czymś znacznie poważniejszym – ogólnopolską organizacją skupiającą większość – wciąż jeszcze słabych – ruchów ekologicznych. Tę zmianę statusu zawdzięczała ponoć przewodniczącemu białostockiego oddziału, który wypłynął na zieloną scenę po udanej akcji ochrony Puszczy Białowieskiej przed masowymi wyrębami w 2002 roku. To Wojtek Orzeł, a nie jej oficjalny szef Jan Grys, utożsamiany był z Ligą. Orzeł zmobilizował większość drobnych ruchów ekologicznych, nawiązał kontakty z Zielonymi z Unii, a podtrzymywał te z ekologami z Białorusi. Legenda Orła rosła, a wraz z nią liczba chętnych do współpracy z Ligą...

Pomyślałem o nich z podziwem. Mieli głowy na karkach. Przy pierwszych oznakach wzrostu zainteresowania ekologią postanowili, że sami będą trzymali rękę na pulsie. Skoro i tak pewnie w niedalekiej przyszłości miał powstać silny ruch ekologiczny, a z niego może nawet partia – co już nie raz zdarzało się w tym kraju – należało ułatwić zadanie zbłąkanym zielonym owieczkom...

Z zamyślenia wyrwał mnie cichy kaszel Jacka. Noc była ciepła, ale kamienne schody stygły szybko, zbyt szybko.

– No nic, pora już iść spać. – Jacek zgasił kolejnego papierosa i zatarł dłonie. – Do jutra, Kuba.

Odszedł, lekko powłóczęc lewą nogą. Pozostałość po wypadku, który zabrał mu wszystko...

Gdzieś za mną rozległ się przeciągły gwizd. Hieny, które nie miały odwagi zaatakować dwóch mężczyzn, teraz zaczęły wyłazić z ciemnych zaułków. Było ich czterech. Stanęli przede mną, bawiąc się kijami bejsbolowymi.

– No, koleś, wpadłeś – odezwał się pokryty pryszczami przywódca. – Wyskakuj z forsy.

Milczałem, patrząc na nich spokojnie. Najwyraźniej nie spodziewali się tego. Dopiero po chwili najwyższy z nich uderzył kijem w schody i wrzasnął

– Słyszałeś, dawaj kasę.

Spojrzałem w szare oczy. Rozszerzone narkotykiem źrenice. Nie potrzebowałem nawet trzech sekund, by stwierdzić, że dzieciak ma mózg jak wata. Żadnych myśli, ale i żadnych barier czy hamulców. Jednak dziś byłem nieco zmęczony, więc postanowiłem załatwić sprawę klasycznie. Zresztą, zawsze przyda się trochę rozrywki przed snem. Wstałem szybkim ruchem. Oskoczyli jak dzikie zwierzęta.

– Odejdźcie – powiedziałem znużonym tonem.

Hieny roześmiały się. Błysnęło światło latarni odbite od klingi noża sprężynowego. Zanim minął błysk, właściciel noża już związał się na ziemi, jęcząc z bólu... Reszta odskoczyła zdezorientowana. Ruch, który wykonałem, był zbyt szybki, by zarejestrowały go ich przećpane oczy.

Ruszyli. Gładko zszedłem z linii ciosu najwyższego z nich, chwytając przy tym za kij. Głucho chrupnęła łamana kość nadgarstka. Dwaj kolejni zaatakowali jednocześnie. Złapałem rękę tego z kijem, by rzucić go pod nogi atakującego nożem. Upadli obaj. Nie pozwoliłem im wstać.

Duże, przerażone oczy, rozwarte do krzyku usta nie mogły mnie już powstrzymać. Chrzaniłem konspirację. Postanowiłem zaaplikować hienom nieco szacunku dla innych. Powiadają, że oczy są zwierciadłem duszy, i coś w tym jest. Ja w każdym bądź razie długo wpatrywałem się w ich rozszerzone z przerażenia źrenice, zanim... Noc rozerwały okrzyki bólu... Wzruszyłem ramionami. Ich matki będą mi wdzięczne. Po tej kuracji miną długie miesiące, zanim sama myśl o wzięciu broni do ręki przestanie budzić koszmary...

Właśnie wróciłem z kolejnej podstawówki, gdzie miałem prelekcję na temat zanieczyszczeń wód, gdy podeszła do mnie podekscytowana Basia.

– Orzeł przyjeżdża. – Podała mi jeszcze ciepły faks. – Chciałby się z nami spotkać i omówić kilka ważnych spraw. Podobno mają wpisać chełmskie podziemia kredowe na listę europejskich zabytków kultury. Pewnie będzie trzeba przygotować z tej okazji jakąś imprezę.

Mimowolnie się uśmiechnąłem. Impreza imprezą, ale tu chodziło o coś innego. Za dwa miesiące miało mieć miejsce walne zgromadzenie członków Ligi i wybór nowego przewodniczącego. Skurczybyk wyruszył w kampanię wyborczą. Niepotrzebnie. Wystarczyło spojrzeć na Basię i pozostałe dziewczyny. Były w nim zakochane na zabój...

Był przystojny. Trzeba było tu przyznać Karolinie całkowitą rację. Kruczoczarne włosy, pociągła twarz, wąskie usta. Do tego szarmancki... Ucałował dłoń każdej z obecnych pań, zanim podszedł do nas. Przyglądałem mu się z ciekawością. Więc tak wyglądał z bliska. Och, oczywiście obserwowałem go już przez jakiś czas, ale zawsze z odległości lub w telewizji. Ale ani zdjęcia, ani telewizja nie oddawały tej nieuchwytej aury. Uśmiechnąłem się. Zaraz uściśniemy sobie dłonie i rozpoczną się łowy... Najważniejszy jest pierwszy kontakt z ofiarą...

– Wojtek – przedstawił się.

– Kuba. – Uściśniłem silną dłoń i spojrzałem w zielone oczy.

Świat zawirował...

– Kuba, co z tobą – Basia chwyciła mnie za ramię. – Zbladłeś. Dobrze się czujesz?

– W porządku. Dziękuję. – Opierając się na niej, podszedłem do najbliższego biurka i opadłem na krzesło. – Przepraszam, Basiu. Wracaj do gości. Już mi lepiej.

– Na pewno?

– Na pewno. Dzięki.

Być może to było złudzenie, ale gdy się pochyliłem, próbując odzyskać równowagę, zdawało mi się, że po twarzach Wojtki i Jacka przebiegły porozumiewawcze uśmiešky.

Tej nocy w mój sen wkroczył las. Nie wiadomo skąd, znalazłem się w zagajniku białych brzoźek. Gdzieś w oddali słyszałem warkot przejeżdżającego ciągnika. Ale nie chciałem wracać do ludzi. Jeszcze nie teraz. Ruszyłem przed siebie. Już po kilkunastu minutach znalazłem się w starszej części lasu. Przeziąłem wąską, piaszczystą drogę i zanurzyłem się w puszczy... Olbrzymie, wiekowe drzewa tworzyły nad głową zbitą, zielony dach. Coraz częściej musiałem mocować się z wczepiającymi się w rękawy dzikimi malinami, coraz więcej powalonych drzew zagradzało drogę. Prześwity w zielonym dachu natychmiast wykorzystywały młode drzewa, pleniąc się wokół martwych olbrzymów. Przeskoczyłem przez niewielką strugę i zobaczyłem, jak w popłochu ucieka spłoszone moim skokiem stado saren. Nie zatrzymałem się, coś mnie ciągnęło do przodu, głębiej w las. Zrezygnowałem nawet z odpoczynku, którym kusił mnie cień rozłożystego dębu rosnącego samotnie na polanie. Nie szukałem obejść. Z determinacją przebijałem się przez coraz większy chaszczce. Coraz częściej przecinałem ścieżki zwierząt. Gdzieś z daleka mignął mi lis, słyszałem ryjące dziki, przez kolejną polanę wielkimi skokami popędził jelen. Ale szedłem dalej. Szedłem, nie zważając na tętent, spłoszonego nagle stada zubrów. Nagle niepokój panujący w puszczy dotarł i do mnie. Coś zagrażało temu miejscu. Źródło strachu znajdowało się wprost przede mną. Mimo to szedłem dalej. Musiałem. Nie przeszkadzał mi nawet zapadający zmrok. Gdzieś niedaleko zawył wilk...

Ocknąłem się, momentalnie w pełni świadomy i przytomny. Niepokój ze snu nie opuszczał mnie i teraz. Wstałem i włączyłem radio. Zrobiłem głośniejsze, pragnąc, by wesół muzyka zagłuszyła wszystkie uczucia...

Impreza w Chełmie udała się nad podziw dobrze. W ostatni słoneczny weekend października na deptak przy ulicy Lwowskiej przybyły setki spragnionych rozrywki mieszkańców i gości. Gwoździem programu był koncert Budki Suflera, ale równie dużym zainteresowaniem cieszyły się występy lokalnych zespołów, rozmaite konkursy i prezentacje o tematyce ekologicznej. Współpracujący z Ligą wegetarianie skorzystali z okazji i rozdawali wszystkim chętnym potrawy z soi. Oczywiście ostateczny rachunek za nie pokryła Liga.

Na Długiej już czekała na mnie robota. Orzeł, dowiedziawszy się, że Lublin ma anglistę, podesłał nam kilkanaście stron różnych dokumentów, z prośbą o przetłumaczenie odpowiedzi i dyskrecję. Nie miałem pojęcia, skąd się wziął ten nagły napływ zaufania. Przecież ledwie mnie znał... Czyżby udało mi się już na niego wpłynąć? Byłby to pierwszy przypadek tak szybkiego sukcesu w mojej karierze, ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Może akcja nie będzie taka trudna, jak początkowo sądziłem....

Orzeł prowadził bogatą korespondencję z różnymi organizacjami, zajmującymi się ochroną środowiska. Najwięcej listów pochodziło od Jeana Bouville, specjalisty unijnego, który namawiał LOP na wyrażenie zgody na unijny plan ochrony puszczy. Obiecywał bająnskie sumy, o ile tylko Liga nie będzie blokowała unijnych reform w rolnictwie. Na to z kolei nie zgadzał się Orzeł. Twierdził, że preferowany w UE model rolnictwa zachwieje istniejącą wokół puszczy delikatną równowagę ekologiczną i ostatecznie ją zniszczy. Ostrzegał, że użyje wszystkich dostępnych środków, aby nie dopuścić do przyjęcia ustaw. Mógł to zrobić. Wystarczyło zebrać podpisy od członków LOP-u, aby wnieść obywatelski projekt zmieniający ustawę o ochronie środowiska. Mógł tak nagłośnić sprawę, że nawet prounijni politycy długo wahałoby się, by podpisać cokolwiek i narazić się tym samym na utratę przyszłych głosów wśród zwolenników LOP-u. Zaczynałem rozumieć dlaczego mnie tu skierowano...

I gdyby tylko przestał mi się śnić ten przeklęty las...

W marcu na Długą przyszedł ciekawy list. W zielonej kopercie leżało zaproszenie do spotkania liderów w Warszawie, z okazji Tygodnia Ziemi. Pod spodem odręcznym pismem dopisek. "Niech przyjedzie też Kuba. Pilne! – W. Orzeł."

Jacek spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czy ja o czymś nie wiem? – zapytał. – Może nas oświecisz, Kuba?

Nie wiem, czy uwierzył w moje zapewnienia, ale bardzo się starałem. Ja również nic z tego nie rozumiałem.

W restauracji Staropolskiej kłębił się tłum gości. Nie wiem dlaczego, ale natychmiast po wkroczeniu do sali, zapragnąłem wyjść na dwór, powrócić do świata względnej ciszy. Na podium puszył się Grysio, jak go nazywali lubelscy koledzy, ale zainteresowanie jego odczytem było znikome. Odszukałem wzrokiem Jacka i pomachałem mu ręką. Odkiwnął i powrócił do suto zastawionego bufetu, który skupiał uwagę większości gości. Wyszedłem przed budynek. Od ściany oderwała się ciemna postać.

– Widzę, że ciebie też zmęczył ten hałas?

– Wojtek?

– Aha. Dobrze, że wpadłeś, Kuba. Co u ciebie słyhać? Jak tam twoje plany zawodowe?

– Plany zawodowe? Nie mam żadnych. Ot, podoba mi się w Lublinie... Nieduże, spokojne miasteczko.

– W Białymstoku też by ci się spodobało. Nie będę owijał w bawełnę. Mam propozycję. W jednym z liceów zwolnił się etat anglisty. Może byłbyś zainteresowany. Nie ukrywam, że chciałem cię mieć pod ręką...

Milczałem, pragnąc ukryć przedwczesną radość. Czyżby jednak udało mi się już wygrać moją wojnę... Chociaż z drugiej strony poczułem pewne rozczarowanie. Nie powiem, że bym lubił wysiłek, ale tu zwycięstwo przychodziło zbyt łatwo...

– Zastanawiasz się? – Orzeł przerwał ciszę. – Może najlepiej by było, gdybyś przyjechał na kilka dni do Białegostoku, zobaczył naszą puszcę, żubry... Sam zdecydujesz, czy ci się podoba. Zapraszam.

Uśmiechnąłem się.

– Przyjadę. Może na długi weekend majowy, za trzy tygodnie.

Na parkingu przed Holliday Inn stała limuzyna. Byłem nieco zaskoczony. Spodziewałem się raczej srebrnej Astry Kowalskiego. Najwidoczniej sprawa była bardziej poważna, niż mi się zdawało... Bez słowa zająłem miejsce z tyłu. Natychmiast jasne szyby zmatowiały, a z głośników zaczęła się saczyć muzyka, by zagłuszyć stłumione odgłosy hałasu ulicznego, ot tak, na wszelki wypadek, gdybym próbował określić według niego dokąd jedziemy. Na stoliku między siedzeniami drink. Specjalna mikstura, która miała wytłumić moje zdolności, tak, aby oni mogli spokojnie rozmawiać.

Nie miałem pojęcia, dokąd jadę. Zresztą nigdy nie zależało mi, aby się tego dowiedzieć. Jak zwykle zatrzymaliśmy się w ciemnym parkingu podziemnym, z którego poszedłem do windy i nacisnąłem jedenaste. Na korytarzu czekali już na mnie Kowalski i Malinowski. Sztuczne uśmiechy i wprawne palce,

którymi przeprowadzili rewizję. Gwałtowny ucisk wewnątrz czaszki, gdy ukryty gdzieś za drzwiami Mówca przeskanował moje najwyraźniejsze myśli. Długi pusty, korytarz i drzwi, prowadzące do wyłożonego purpurą apartamentu.

Mroczne pomieszczenie rozjaśniało ostre światło lampy skierowanej na wchodzącego. Oni jak zwykle stali w bezpiecznej ciemności. Mimowolnie zacisnąłem zęby, gdy odruchowa próba sprawdzenia tożsamości rozmówców została brutalnie powstrzymana.

– Prosiłeś o spotkanie? – Elektronicznie zmieniony głos przerwał ciszę.

– Tak. Mam dwa pytania. Czy to wy wpłynęliście na Orła, aby ściągnął mnie do Białegostoku?

Chwila milczenia.

– Nie, to nie my. To własna inicjatywa obiektu. Zauważył cię, zgodnie z planem. Nieco wcześniej niż zakładaliśmy, ale to nawet lepiej. Najwidoczniej jest podatny na twój wpływ.

Odetchnąłem z ulgą. Więc to jednak ja.

– Drugie pytanie?

– Skoro to inicjatywa obiektu, oznacza to, że wciąż mam nieco czasu na jego rozpracowanie. Lubię działać dokładnie, a to wymaga czasu...

– Przykro mi, ale nie masz czasu. Polecenie przejęcia kontroli może nastąpić w każdej chwili. Nie baw się w artystę, tylko działaj jak najszybciej.

Syknąłem rozczarowany. Znów to samo. Zatrudniają kasiarza, aby wysadzić sejf.

– Nie wiem, jak szybko się z tym uporam. Orzeł to silna osobowość.

– A za co każdego miesiąca inkasujesz kilka tysięcy, Kistner? Za przeprowadzanie dzieci przez ulicę? Jesteś dobry i zawsze będziesz miał trudne przypadki. Słabe osobowości załatwiamy inaczej: groźbą, łapówką, szantażem.... Nie marudź więc, tylko bierz się do roboty! Chyba że coś jeszcze?

Zawahałem się. Powiedzieć im o koszmarach? A może już wiedzą?

– Coś jeszcze, Kistner?

– Nie. Już nic. Do widzenia.

Wyszedłem. Daleko, na końcu korytarza Malinowski i Kowalski rozmawiali szeptem, co chwila zezując w moją stronę. Odruchowo przestawiłem się na odbiór. A wtedy... Wtedy usłyszałem strzępy rozmowy z pokoju, który opuściłem...

– A jak nie da rady?

– Kistner? To wilk. On nie dałby rady?

– A jeżeli mimo wszystko nie uda mu się?

– Nie będziemy mieli wyjścia. Wie już zbyt wiele...

Przekaz urwał się. Miałem nieodparte wrażenie, że chciano, bym usłyszał tę rozmowę...

Puszcza była piękna. Olbrzymie drzewa okryły się delikatnym, wiosennym listowiem. Wzrok przyciągały powalone przez czas olbrzymy, wokół których kipiało nowe życie. Ptaki wzajemnie się przekrzykiwały. Odetchnąłem głęboko. Byłem w Puszczy Białowieskiej.

– Może się przejdziemy? – zaproponował Wojtek i wyskoczył z bryczki na leśną drogę. Wygramoliłem się za nim.

– Pięknie, prawda?

Potwierdziłem. Dopiero teraz, gdy umilkł odgłos końskich kopyt, dotarło do mnie bogactwo ptasiego śpiewu, którym rozbrzmiewała cała puszcza.

– I pomyśleć, że oni chcą to zniszczyć?

– Jacy "oni"?

– Rząd, parlament, Unia Europejska... Oni... Przecież muszą sobie zdawać sprawę, że wprowadzenie zachodniego modelu rolnictwa zniszczy puszcę. Och, obiecują nam, że do tego nie dojdzie, że są fundusze na ratowanie puszczy, ale ja wiem swoje...

Uśmiechnąłem się przepraszająco.

– Wybacz, Wojtek, ale ja wciąż nie rozumiem. Co ma piernik do wiatraka. Jaki związek ma rolnictwo z puszczą?

Nie wyglądał na zaskoczonego. Szczerze mówiąc, chyba liczył na taką reakcję.

– Posłuchaj, Kuba. Byłeś na Zachodzie i wiesz, jak to tam to wygląda. Pomyślmy, jak wyglądałoby rolnictwo u nas według unijnego wzorca. Setki hektarów jednolitych upraw, likwidacja wszelkich łąk i pastwisk – o ile ktoś zdecyduje się na zboże. Albo na przykład bydło. Czy wiesz, że na Zachodzie nigdy nie kwitną łąki? Tam nie zbiera się siana, lecz jedynie zieloną trawę na kiszonkę. A czym w takim razie mają się pożywić owady i ptaki? A osuszanie terenów podmokłych... Kuba, puszcza nie jest wyspą oddzieloną od reszty ekosystemu. Jeżeli znikną naturalne biotopy w jej pobliżu – umrze i ona.

Milczałem. Właściwie to nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

– Chodź. Pokażę ci coś ciekawego.

Ruszyliśmy na przełaj przez las pokryty grubą warstwą zeszłorocznych liści. Ominęliśmy jeden wykrot, potem drugi. Przeskoczyliśmy przez powalonego olbrzyma, by w końcu znaleźć się na zalanej słońcem polance. Zmrużyłem oczy od niespodziewanego blasku. Gdy otworzyłem powieki, zobaczyłem je. Setki, tysiące liliowych kwiatów. Porastały całą polanę.

– Co to za kwiaty, Wojt... – słowa ugrzęzły mi w gardle, gdy obejrzałem się i nie ujrzałem nikogo. Mój przewodnik zniknął.

– Wojtek! – krzyknąłem.

Opowiedziało mi echo i śpiew ptaków.

Wzruszyłem ramionami. Nigdy nie miałem problemów z orientacją. Doskonale wiedziałem, w jakim kierunku znajdowała się bryczka. Nie rozumiałem tylko zachowania Wojtka. Czyżby była to jakaś próba? Czyżby jednak czegoś się domyślał?

Odwrociłem się, ale przede mną zamiast zbitej kępy olch znajdował się brzozowy zagajnik ze snu. Wzdrygnąłem się. O co tutaj do licha chodzi? Zawahałem się i... Miałem dwa wyjścia. Wracać albo raz na zawsze rozwikłać zagadkę koszmarów. Ruszyłem między brzozy. Wiedziałem jak mam iść – kroczyłem tą drogą setki razy. Wszystko się zgadzało – co do najdrobniejszych szczegółów. Gdzieś w oddali usłyszałem warkot ciągnika na leśnej drodze. Jeszcze mogłem się cofnąć... Mogłem, ale wiedziałem, że żałowałbym tego do końca życia...

Droga była kręta, ale znałem ją tak dobrze...

Szedłem.

Drogą ze snów.

Moją drogą.

Zapadła już noc, gdy dotarłem do miejsca, w którym urywał się sen. Zmęczony, zatrzymałem się na polanie. Gdzieś w oddali zawył wilk. Na plecach poczułem ciarki...

– Legendy mówią, że to strażnik matecznika. Kto wie, może ostatniego z mateczników w Europie. – Od pnia, stojącego w pobliżu drzewa, oderwała się wysoka sylwetka. Wojtek podszedł do mnie szybkim krokiem i spojrzał w oczy. – Mówią też, że jeżeli ktoś raz usłyszy głos strażnika, nigdy nie zazna już spokoju... Witaj w klubie, Kuba, czy też jak ci tam naprawdę na imię...

Skąd wiedział? Musiał posiadać talent podobny do mojego. Tylko że... Co tu ukrywać. Był lepszy. Nawet nie poczułem, gdy przekraczał bariery, pod którymi skrywałem swoją tożsamość. Do klubu, o którym wspominał, należało zaledwie kilkanaście osób. Jak widać, nie każdemu udawało się dotrzeć aż tutaj. Nie powiem, abym szczególnie się ucieszył z tego zaszczytu.

– Musisz go przekonać! – Tym razem Malinowski nie udawał przyjaciela.

– To jakiś absurd. – Wciąż nie wierzyłem w to, co przed chwilą usłyszałem. – Wybijcie to sobie z głowy.

Stojący za moimi plecami Kowalski nagle pochylił się i jadowicie szepnął.

– Zapominasz się, Kistner. Chyba pamiętasz jeszcze, kto ci płaci. Nie gryź ręki, która cię karmi, synu.

Zacisnąłem zęby i poderwałem się z krzesła.

– Mówicie serio? – Nie poznałem swojego głosu.

– My zawsze mówimy serio, Kistner. Masz go przekonać, aby odwołał spotkanie. Ci dwaj ludzie nie mogą się spotkać. Nie tu, nie teraz... Nasz Widzący... Zresztą, to nie twoja sprawa... Orzeł musi odwołać spotkanie z Bouville. Zrozumiałeś?

Zacząłem chodzić po niewielkim pokoju. Podszedłem do okna i zapatrzyłem się w ciemność.

– Ale dlaczego mam ingerować już teraz? Przecież wam chodzi o coś więcej. Chcecie mieć swoją marionetkę, ok. Da się zrobić. Ale teraz... To silna osobowość. Będzie walczył. Pokonam go, ale to może go "uszkodzić"... Nie marnujcie mojej pracy. Za dwa, trzy miesiące przejście kontroli będzie znacznie bardziej pewne i bezpieczne...

– Bezpieczne? Dla kogo, Kistner? – Malinowski uśmiechnął się sarkastycznie.

Kowalski podszedł do mnie powoli i poklepał po policzku. Zacisnąłem zęby.

– Czyżbyś miał jakieś skrupuły, Kistner? Nazwijmy to próbą generalną. Jeżeli go nie "przekonasz", będzie to znaczyło, że straciliśmy te wszystkie lata. Że na darmo pompowaliśmy miliony w tę śmieszoną organizację. Że, wybac mi szczerze, nie nadajesz się już do tej roboty...

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Będzie potrzebny kozioł ofiarny?

Malinowski sięgnął po płaszcz leżący na kanapie.

– Nie filozofuj, Kistner. Bierz się do roboty. I pamiętaj, my nie pozwolimy, by doszło do tego spotkania.

Popatrzyłem przez okno kawalerki na odjeżdżający samochód. Uśmiechnąłem się smutno... Nadeszła pora, bym zapracował na swoje trzydzieści srebrników...

5.30. Poranna kawa, zagryzana wczorajszym pączkiem. Śniadanie mistrzów. Jutro przyjeżdżał Bouville, a ja miałem do przetłumaczenia jeszcze kilkanaście stron dokumentów. Odruchowo włączyłem radio. Spokojna, relaksacyjna muzyka, przerywana co kilkanaście minut męskim głosem. A potem...

Nie wierzyłem własnym uszom.

Wypadek? Kierowca był pijany? Wojtek nigdy nie jeździł po pijanemu... Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby pił... Nadmierna szybkość... Niebezpieczny zakręt... No i pewnie żadnych świadków... Zabili go! Skurwiele!!!

Dwadzieścia cztery godziny później. Lotnisko Okęcie w Warszawie. Do sali przylotów wejściem dla VIPów wkroczyła grupka ludzi. Miedzy nimi i on. Bouville. Eksperci unijni, którzy mieli przekonać rząd i organizacje społeczne o konieczności wprowadzenia pakietu reform rolnych...

Stałem wśród witających. Jedyny przedstawiciel biura w Białymstoku. Reszta wzięła udział w pogrzebie. Tylko nie ja... Nie mogłem... Nie chciałem... Może gdybym spróbował działać według ich rozkazów... Może wówczas żyłby jeszcze... Może...

Pierwszy powitał gościa Grysio. Nawet nie było po nim widać smutku z powodu śmierci kolegi... Hiena... Teraz to on był najważniejszy. Stałem na końcu szeregu.

– A to prawa ręka zmarłego tragicznie Wojtka Orła...

– Ach, Wojtek... – Szczurzą twarz eksperta wykrzywił grymas. – Bardzo mi przykro.

Miał twardą dłoń...

Zachwiał się. Opalona twarz poszarzała. Wszyscy oficjele rzucili się na ratunek.

Odszedłem.

Już wiedziałem, dlaczego Wojtek nie mógł się spotkać z Bouvillem.

Tej nocy w sen Jeana Bouville wkroczył las...

Krasne, grudzień 2001 r.